

L. Ciechanowiecka

26-go stycznia w Sejmie

Z rysunkami Jadwigi Umińskiej

Trochę ta sala sejmowa sprawia wrażenie egipskiego grobowca. Wrażenie to potęguje wielka ilość mumii, trwających w kompletnym bezruchu, na ciemno zielonych fotelach. Jakby dla dopełnienia egzotycznego obrazu marszałek światłowski przybył do Sejmu opalony na kolor starej miedzi (na galerji ktoś krzyknął: „Oho, marszałek wraca z nart”) i zasiadł na strywnym, prostym tronie, bronzowolity, jak faraon. Sterczy przy nim groźna czarna buława, która wywiera najwidoczniej wpływ hipnotyczny na posłów z Be-be.



No, tak — albo grobowiec z mumi, albo ochronka z dziećmi. Gdzieniedzie wśród tych łysych i brodatych dzieci siedzą ochroniarki — postanki. Typowa dama klasowa, Jaworska, w binoklach na ostrych oczach, Waśniewska, tęga przełożona z „Dziewcząt w mundurkach”, jest i postanka, którą zwa nianią Be-be, ze względu na rozlewność jej kształtów.

W tym dniu dzieci z ochronki Be-be zachowywały się, jak zwykle, cichutko i potulnie, klaszcząc czasami miarowo, na rozkaz („zabawa w łapki”). Nastrój był senny, jak podczas lekcji gramatyki.



Z przemówienia pana Cara widać nuda. Kilka razy „wtaręło” (ulubione słowo p. wicemarszałka) jakieś żywsze słówko niepoprawnego posła Stroińskiego, ale pozatem panowała cisza, przerywana stłumionym ziewaniem. To mogło być równie dobrze przemówienie na szkolny temat zadany.

Ale komplet był. Nie można się skarżyć. Nawet ławy ministerialne roły się od ministrów. Najpilniej przysłuchiwał się premier, inni gawędzili szeptem, jak podczas miłego fajfu. Dwa tłuszcioszki — dobroduszny, okrągłutki minister sprawiedliwości, fanatyk kary śmierci (jak to nie można sądzić z pozoru) i drugi — rolnictwa, wzięli w obroty smutkiego, jak waż, Miedzińskiego, co wśród kibiców galerjowych wywołało zaraz komentarze: „Oho, zeszły się państwowe nemrody. Porozumiewają się, jakie następne polowanie urządzić na grubego zwierza”. Beck — bardzo za granicznie wyglądający brunet, chichocze się z sąsiadem. Może sobie opowiadają najnowszą anegdotę. Za nimi przywarły do muru świetnie ubrane, wyglądające jak mumi, stojące na baczność. Pod ścianą stoi gruba mu-

mja w mundurze khaki — to zmlitaryzowany sekretarz jednego z ministrów. Na vis-a-vis — widzą z galerji grzędę wiceministerjalną, z której wykwitają melony łysin, krzaczaste czupryny i lśniące pożyczki panów wiceministrów. Taki jest w Polsce uroda na wiceministrów, że aż krzesła zabrakło i dla najnowszego, p. Bobkowskiego, trzeba było przystawić zydelek, na którym siedzi półgębkiem, czuje się niepewnie, więc się trzyma kurczowo pulpitu.

W okrągłym koju ondulowane panienki piszą, piszą, piszą, czasami któraś z nich zapadnie się w czelusć piekielną biur sejmowych, a po chwili wylania się z niej, jak offenbachowski Orfeusz. Jedyny w tem gronie poeta Smolarski siedzi zamyślony, jakby szukał rymu do konstytucji.

Na trybunę wszedł Car. Zgóry widać niedźwiedziową postać, o wielkiej bladej twarzy, z ogorkowatym nosem.



Mówca chwycił się pulpitu pulchnymi rękami, wsparł się mocno na nogach i gnę tułowiem, jak podczas porannej radio gimnastyki („trzymać się mocno stołu — potem pół obrotu w lewo i pół obrotu w prawo”), raz widzimy lysiejącą głowę z pożyczką, drugi raz księżycowe, blade oblicze i czarne koła okularów. Kolysze się miarowo, skandując zdania.

Uczniowie na prorzadowych ławach drzemią błogo. Ktoś przecię za nich mówi i działa, denerwować się nie ma czym, bo co ma być, to się i stanie. „Mek-tub” arabskie („było pisane”) zawisło nad sejmem.

Co jakiś czas słychać głośniejsze zdanie: — „Prosię panów... Zastanówmy się... Pspomnijmy sobie...”

Laik nie domyśliłby się, że to przemówienie zostanie zapisane w księdze dziejów Polski, gdyż odnosi się do niezmiennie doniosłego faktu; zwłaszcza na galerji, dokąd dolatują tylko strzępy słów, wymawianych, mówiąc grzecznie tak, jakby Anglik sepił po polsku, to znaczy, nie wyraźnie.

W pierwszym rządzie ław prorzadowych uśmiecha się chudy, złośliwy Rusin, dalej rozpiera się po hetmańsku mocno w kolorycie, słaby w wyrazie Radziwiłł, który żeby nie zasnąć bawi się własnymi okularami, wycyzniając niemi chińskie sztuczki. Nieco dalej siwołoty Burda, znakomicie ucharakteryzowany na mędrca, zachowuje się trzpiotowato, pakuje mały palec w usta, w nos, lub zaczesuje łobuzerskim ruchem bujną czuprynę. Obok puste miejsce Miedzińskiego, który woli ruch i zwykle przewija się zwinny i chyłki w kuluarach i bufecie. Dalej Zdzisław Stroiński z zadartym noskiem, którym węższy wroga, imiennika z przeciwnego obozu. Dalej żółta łysina i tragiczny zez Sławka, obok różowa łysina i brodka a la Satyr Prystora, który przypomina trytona z boecklinowskich obrazów, dalej łysina w kratkę Polakiewicza, nieco heinowski w typie Makowski, w okularach nie na o-

czach, tylko na ciemieniu (trzeba się czemś przecię odróżnić). A za tymi matadorami posłuszne, nieme grono posłów z Bebe: — buzie w ciup, rączki w małdrzyk, a czasami rączki, składające się do oklasku — „kosi-kosi-lapki”.



Wysoko u góry, gdzie wzrok nie sięga, zawieszono drewniany krucyfiks, żeby nie przeszkadzał, żeby nie przypominał ludziom, że mają coś w rodzaju sumienia.

W tej chwili mówca coraz głębiej lawiruje tułowiem i coraz niewyraźniej mówi. Nagle pada zdanie: „W Polsce nie ma dyktatury, bo nie ma dyktatora”, a zaraz potem — słowo „Piłsudski”. Grzeczni uczniowie usłyszawszy magiczne słowo robią burzę oklasków.

Dwaj ministrowie rozprawiają o polowaniu; przyłącza się trzeci, postanawiają przenieść narady na teren bufetu, więc się chyłkiem wysuwają z sali. Pozostał tylko niewzruszony premier, naprzeciwko niego brat — wiceminister chylił głowę nad żółtą książką budżetową. Wogóle jest tu trochę jak w Arce Noego — wszyscy parami: po dwóch braci, dwóch kuzynków i t. d.

Nastrój robi się coraz bardziej senny. Raz na replikę Stroińskiego Car odpowiedział wprost, a potem jakby doprowadzony złośliwością opozycjonisty do płaczu wyciąga ogromną chustkę do nosa i ociera nią twarz.

Galerja zaczyna z nudów liczyć łysiny i dzielić je na kategorie. Naprzykład łysina wroga

Przed krótkami

Niespodzianka

Bardzo się zdziwił p. Stanisław R., przeczytawszy w jednym z dzienników takie ogłoszenie:

Kto nadeśle znaczkami pocztowymi 50 groszy, otrzyma niespodziankę. Skrzynka pocztowa etc.

W pierwszej chwili pan Stanisław pomyślał:

— Kant.

I przeniosł spojrzenie na wiadomości następne. Ale dziwny anons korył go jakoś.

— Jakż to może być kant? — myślał, czytając ogłoszenie o pistoletach, strzelających do celu prawdziwymi kulami „bez pozwolenia policji” — jakż to może być kant? Facet nie obiecuje, żadnych złotych gór. Poprostu niespodzianka. Cóż to ma znaczyć? Dowcip? Filantropja? A jeżeli kant, to co za dziwny jakiś sposób? Obiecałby co, a nie tak, ni w pięć ni w dziesięć.

Ze złością zamknął gazetę, postanawiając nie myśleć więcej o tem ogłoszeniu.

— Durci jakiś — mruczał.

Do wieczora nie opuszczała go myśl, co to wszystko może znaczyć. Mimo usilnych starań, nie mógł zapomnieć o anonsie. Do drugiej w nocy przewracał się na łóżku, bezskutecznie starając się zasnąć. Kłął i złorzeczył autorowi ogłoszenia najgorszymi wyrazami.

Rano wziął kopertę, włożył znaczków za pięćdziesiąt groszy i tylko dlatego, żeby się przekonać, co zna-

Pana Boga, posła Czapińskiego wygląda jak tonzura — los złośliwy charakteryzuje go na starość na pobożnego mnicha. Podziw kibiców budzi artystycznie rozłożona na dwie połowy czaszka wicem. Siedleckiego. Ten przedziałek przejdzie do historii!

Pada głośniejsze słowo: — „Atomizacja społeczeństwa na komórki”. Parę osób się obudziło. Na ławach opozycji rozległ się śmiech. Na ławach Bebe cisza pełna rezygnacji. Oni i na to się zgodzą. Tylko na twarzy posła górala odmalował się niepokój, a Radziwiłł o mało się nie zadławił okularami.

Znowu płynię nieskończenie monotony potok słów, niby deszcz jesienny.

Ale skoro tylko mówca skończył mówić — rozległy się brawa, na rozkaz „kosi-kosi-lapki”. Przyimne spojrzenia — „O proszę, jak ja klaszczę. Aż mi rączki popuchły”. Tylko Radziwiłł wolniej, co dwa takt uderza dłonią o dłoń, z wielkopańską łaskawością: „Owszem biję brawo, gdy trzeba, ale bez empressement”. Zato ręce posłów żydów poprostu „na oczach” puchną od tego klaskania.

A za oknami wielomilionowa rzesza obywateli nasłuchuje, co się waży w tym białym gmachu, jakie się przygotowuje dla Polski „dziejowe jutro”.

Tymczasem rozprawę nad przyszością ojczyzny przenoszą się do jasnego bufetu,



gdzie dystygowane Heby rozlewają barszczyk „rraz”, buljonik „rraz”, cze-

stują goście ambrozją i hymetem — szpinakiem z jajami, żeberkami z kapustą i nóżkami wieprzowemi. Trzech najważniejszych ministrów, budowniczych państwa, zagłębiło się w eksperymentalne badanie nie tyle Konstytucji, co sejmowych pasztecików. Przy stołach Bebe pusto, bo padł rozkaz „siedzieć!”, więc po zostali wszyscy jak jeden mąż na górze, marząc o żeberkach i nóżkach. W głębi dwóch enpeerowców, z wyrazem melancholijnej rezygnacji studjują jedyny dostępny problem zupy sejmowej — czy dość słona, czy za mało.

Na górze wobec pustej, jak wymiotta, ławy rządowej i kompletu opozycjonistów zaczyna się deklaracja — jak ktoś określa — goleniem Cara.

Najprzód przemawia mały, wyprostowany, wąsaty Winiarski, po nim wiotki Jankowski; mówią zwięźle, krótko. Później biegnie na trybunę Makowski. Długo już dzisiaj konferował, na ucho ze Sławkiem, więc jest pewny siebie i swego. Okulary ma teraz na czubku głowy. Rusza zabawnie brodka, ustawia się w trzeciej pozycji i odzywa się głuchym, grobowym głosem. Znowu radio gimnastyka — w jasnym garniturze, kusi, o długich czarnych włosach inaczej się gimnastykuje niż Car — ruchy ma miękkie, bezkostne, taneczne. Trzyma się kurczowo pulpitu, a nogami przykłada na jedno, to znowu na drugie kolano, w rytm tanga albo pociora.

W pewnej chwili coś rzekł o pożarze, jaki szaleje nad Europą, na to z fotelu, zajętego przez

Stroińskiego, pada zatruta strzała: — „To dlatego było tyle wody w przemówieniu Cara”. Makowski spojrzal beznadziejnie po senych obliczach posłów z Bebe, machnął beznadziejnie ręką, a z ław narodowych, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszyscy naraz zrywają się i pędem biegną na posiedzenie. Ten galop zamyka stary poseł, zwany mandarynem piątej klasy, bo ma na głowę czaszce wspaniałą brodawkę udającą guzik.

Przerwa.

W teatrze figur woskowych zrobiło się cicho. Ciężka szarą ngłą wypełnia opustoszałą salę, cienie pełzną i gęstnieją wewnątrz łóż i wnękach galerji. Amarantowe aksamitne kotary oficjalnych łóż przypominają teatryk Guignol — tylko patrzeć, jak się ukaze Pulcinello i zandarm. Teraz wokoło fotelu marszałka kręca się woźni, łyskając guzami liberji. Jeden z nich z lubością poklepał buławę i wsunął się między pulpit, a fotel. Co to można wiedzieć... Może kiedyś... Nie lepsi od niego zostawali ministrami. Taki Nikodem Dyżma naprzykład...

W sieniach białego labiryntu dudnią głośnie kroki zapóźnionych kibiców. Kaloryfery cicho mruczą, dzieląc się wrażeniami. Minimax od gaszenia pożaru usnął, bo wie, że się tu nigdy nie stanie.

Ostatnie wrażenie — wielkie, nieprawdopodobnie wielkie spluwaczki w przedśionku, przed szatnią.

Dla kogo?

Narodziny znaczką pocztowego

Ojcem znaczką pocztowego był Anglik, sir Rowland Hill. Urodził się on w 1795 w Yorkshire, gdzie rodzina jego posiadała majątek ziemski.

Pewnego razu Hill przechadzał się po wsi zauważył listonosza, który stał pod drzwiami małego „cotta-ge” i wzywał na cale gardło kogoś, dla kogo miał list. Z domku wyszła śliczna panienka, przyjrzała się uważnie kopercie i zapytała listonosza, ile będzie musiała zapłacić za prawo zatrzymania listu. Dawniej bowiem płacono się pewną takse, która wahała się w zależności od tego skąd list przybywał. Okazało się, że w tym wypadku taksa wynosiła całego szylinga. Panienka psmutniała i zwróciła kopertę listonoszowi, mówiąc:

— Chociaż to od mojego brata, który mieszka w Indjach, ale nie mogę zatrzymać listu, bo nie mam pieniędzy.

Filantrop Hill wzruszył się, zapłacił szylinga, zwrócił list wieśniaczce i nawiązał z nią rozmowę. Okazało się, że ludzie ubodzy zmuszeni są używać podstępów, żeby koprespondować ze sobą, gdyż im dłuższy list tem większa była opłata — ograniczali się więc do robienia u-mówionych znaków na kopercie. Panience wystarczyło obejrzeć dokładnie kopertę, która zresztą była pusta.

Rowland Hill postanowił zreformować wadliwy system i napisał raport zatytułowany: „Reforma poczt, jej doniosłość i możliwości”.

Raport zwykłego śmiertelnika tak się spodobał rządowi angielskiemu, że gdy premierem został lord Melbourne przedstawił on parlamentowi projekt reformy poczt (1839 r.). Wniosek został przyjęty, a Rowland Hill otrzymał nominację na stanowisko generalnego pocztmistrza. Dnia 10 stycznia 1840 roku pojawił się w Londynie pierwszy znaczek pocztowy.

Nowy dyrektor poczt musiał staczać walkę z przeciwnikami swego

systemu, z zaśnieżoną biurokracją, która uważała jego wynalazek za „głupkowaty żart”. Imię pan generalny pocztmistrz podał się do dymisji, co wywołało ogólną konsternację. Ogłoszono narodową subskrypcję, na rzecz „dobroczyni”, która przyniosła sto tysięcy funtów. Lord Palmerston skłonił Hill'a do objęcia spowrotem stanowiska „general post master”, a królowa Wiktoria mianowała go komandorem orderu podwiązki. Rowland Hill, ojciec znaczką pocztowego, pozostał dyktatorem poczt do roku 1864, poczem odszedł na emeryturę ze stałą pensją i jednorazową „gratyfikacją”, wynoszącą sto tysięcy funtów szterlingów.

W r. 1849 Francja poszła za przykładem Anglii i wprowadziła czarny znaczek pocztowy, za 20 centymów.

W sierpniu tegoż roku pojawiła się nowa odmiana znaczką, tym razem różowa, wartości jednego franka, w grudniu zaś urodził się znaczek pomarańczowy, wartości 40 centymów.

W okresie drugiego Cesarstwa narodziło się dziesięć nowych znaczków. Ostatecznej reformy poczt francuskich dokonano w r. 1871.

W Austrii wprowadził znaczki w r. 1850 książę Turn und Taxis, dyrektor poczt. Sezasem inne kraje przyjęły u siebie system angielskiego dziwaka. Szczegół charakterystyczny — razem z pierwszym znaczkiem pocztowym pojawił się pierwszy filatelista. Znaczką znalazły odrazu konsekwentów i zbieraczy. W r. 1853 ukazał się na łamach Timesa następujący anons:

— Za cenę dwóch pensów, płatnych w znaczkach pocztowych, wysyłam piękny szyćli „Barre’go”, wyobrażający Napoleona III-ego”.

W dzisiejszych czasach filatelista daje chleb tysiącom pośredników i zbieraczy. Trzeba tylko trochę cierpliwości — bo znaczek pocztowy nabiera wartości z wiekiem. Jedno jest pewne — mały znaczek pewnością jest lokatą od akcji, które z wiekiem często tracą na wartości.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 545-80 (Centrala). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11 — 12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Rmto (z kowem P. K. O. Nr. 13550).

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalaty): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł, lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.